

CHOCHLIK W CZARNEJ SUKIENCIE

Okladkową twarzą styczniowego "Kalejdoskopu" jest Ewelina Kudeń-Nowosielska, występująca na scenach TeArtu i Teatru Małego. Poniżej pełna wersja wywiadu, który z aktorką przeprowadził Piotr Grobliński.

Piotr Grobliński: To jak to było z tym Szczecinem?

Ewelina Kudeń-Nowosielska: Na czwartym roku studiów pojechałem na rozmowę z dyrektorem Teatru Polskiego Adamem Opatowiczem. Zupełnie nie wiedziałam, co z tego wyniknie. A tu pan dyrektor daje mi skierowanie na badania lekarskie. *Akurat jedna aktorka do Warszawy mi uciekła, więc wejdzie pani w wakacje w trzy zastępstwa.* Wzięłam dokumenty, a tydzień później okazało się, że jestem w ciąży. Nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby to zataić, podpisać umowę, a po trzech miesiącach powiedzieć: dyrektorze, przepraszam. Wiem, że tak ludzie robią, ale jakoś nie mogłam. Zadzwońiłam z wyjaśnieniami, dyrektor obiecał, że jeżeli będę chciała wrócić, to mam się odezwać. Ale kiedy się urodziła Zosia i zobaczyłam, jak to wygląda, stwierdziłam, że nie da się mieszkać w Łodzi, grać w Szczecinie i mieć męża w Warszawie. Przepadło.

Oboje byliście na studiach?

Bartek był już po studiach. Poznaliśmy się, kiedy ja byłam na pierwszym roku, on na czwartym. Byłam jego fuksicą. Każdy pierwszy rok przechodzi przez pierwszy miesiąc fuksówkę i on był tak zwanym „dyrektorem fuksówki”. Miał wtedy brodę, wąsy, bo akurat grał robotnika w filmie o Popiełuszcze. Wyglądał strasznie poważnie.

O co chodzi w tym fuksowaniu?

Fuksówka polega na wykonywaniu zadań, przygotowywaniu jakichś etiud, odpytywaniu z nazwisk starszych kolegów. Idea jest taka, żeby ten pierwszy rok poznał szkołę i siebie nawzajem, bo na zajęciach trzeba się otworzyć – szkoła teatralna to nie pisanie notatek na wykładach. Czasami fuksówka pomaga. Dyrektor z czwartego roku kieruje tym całym wydarzeniem.

Są tam jakieś elementy poniżające, drastyczne?

Najgorsze chyba było stanie. Byliśmy ustawiani w dwuszeregu, wieczorem, już po całym dniu zajęć i musieliśmy stać do 2 czy 3 w nocy. Bacność fuksy, ruki po szwam.

I gdy tak staliście, dyrektor fuksówki wybierał sobie żonę?

Nie, tak szybko to się nie zaczęło, dopiero po pierwszym roku.

Zakochała się pani w swoim oprawcy? To jakiś syndrom sztokholmski.

Bez przesady, Bartek nas fuksował, ale to była zabawa. Przynosił mi zawsze jabłko albo jakieś inne owoce. Wymyślił, że mam się przedstawiać, podrzucając jabłko. Każdy fuks jest porównywany z kimś z poprzednich lat albo z kimś znanym. Ja miałam się przedstawiać „Ewelina Kudeń – Magdalena Zawadzka”. Jeden kolega z tyłu zawsze wtedy pytał: *Za co?* Dopiero po roku zrozumiałam, o co mu chodziło.

Jak się Pani w tej szkole znalazła?

Pochodzę z małego miasteczka, z Małogoszcza pod Kielcami. 5 tysięcy mieszkańców, nic się nie dzieje. Ale za moim blokiem był dom kultury. I ja w wieku 6 lat podpatrzyłam, że tam jakaś grupa robi teatrzyk. Poprosiłam mamę, żebyśmy mogła się zapisać. I tak już zostało. Ale nie myślałam o szkole aktorskiej, nie wybiegałam myślą tak daleko. Dopiero moja siostra, która się sprowadziła do Łodzi, powiedziała mi o klasie o profilu teatralnym. Zaproponowała, żebyśmy do szkoły średniej

przyjechała do Łodzi. I tak wylądowałam w VI LO u Ani Ciszowskiej. To jest osoba po części odpowiedzialna za to, kim jestem. Na Wydział Aktorski zdałam za drugim razem. Najpierw niesiona entuzjazmem poszłam zupełnie zielona. Musiałam przez rok robić, więc pojechałam do Krakowa, do policealnego Lart Studio. Rodziców nie było stać na utrzymywanie mnie w Krakowie, więc opłacali mi tylko szkołę i mieszkanie. Na swoje wydatki musiałam zapracować sama. Sprzedawałam popcorn i colę w kinie, po południu chodziłam na zajęcia. Niesamowity czas.

Dobry był ten wasz rocznik? (chwila ciszy) Myśli pani, jak to dyplomatycznie powiedzieć?

Dużo osób dostało pracę w zawodzie, ale chyba jedynie Asia Osyda jakoś wypłynęła. Kontakt mam z nimi sporadyczny i gdyby nie Facebook, to za wiele bym nie wiedziała. Z Danielem Misiewiczem gramy *Związek otwarty*.

Na IV roku dostała pani stypendium ministra kultury - była pani zdolną studentką?

Tam chodziło o średnią. Pani z dziekanatu zaproponowała, że wyśle mi dokumenty do stypendium ministra - miałam tylko wpisać dodatkowe osiągnięcia.

Jakie osiągnięcia?

Zdobyliśmy na trzecim roku nagrodę publiczności na festiwalu w Moskwie. Pojechaliśmy z *Efektem Dopplera*, spektaklem na podstawie scen z filmów Jarmuscha, przygotowanym przez Marcina Brzozowskiego. To chyba jedyna osoba ze szkoły, która poszerzyła moje horyzonty i widzenie teatru. Szkołę wspominam tak sobie. Pierwsze dwa lata były intensywne, a potem profesorowie nam odpuścili.

A dyplomy?

W *Opowieściach o zwyczajnym szaleństwie* zagrałam dwa małe epizody W *Top Dogs* Marcina Brzozowskiego miałam większą rolę, ale to był dziwny dyplom. Przerobiony z wcześniejszego egzaminu, ciągle poprawiany. Ekipa w końcu przestała wierzyć, że to jest dobre. Więc raczej sobie nie pograłam. Ale Bartek zobaczył, jak Krystyna Janda robiła ze studentami *Związek otwarty*. Tam jest co grać. Więc gdy z dyplomami trochę nie wyszło, padła propozycja, żebym z kimś tę sztukę robiła. Wybór padł na Daniela. Przez trzy lata zagraliśmy to ze 30 razy, ostatnio w Łódzkim Domu Kultury.

Przygotowując małżeńską komedię miała już pani dwa nazwiska?

Byliśmy razem, ale Bartek mężem jeszcze nie był. Ślub wzięliśmy po czwartym roku, w wakacje. Jesienią minister zaprosił mnie na Zamek Królewski po stypendium na ostatnie pół roku studiów. Dwa dni po jego odebraniu urodziła się Zosia.

A równocześnie cały czas była pani w *Związku otwartym* z Danielem...

Śmiejemy się, że ten spektakl będzie trafiony w punkt za jakieś 10 lat, kiedy będziemy koło czterdziestki, nabierzemy życiowego doświadczenia. Wtedy powrócimy do tekstu, bo w naszym przedstawieniu dużo wykreśliliśmy, żeby nie gadać o nie swoich problemach.

Da się pogodzić wychowywanie dziecka z zawodem aktora?

To bywa trudne, gdy próby trwają i trwają, ale myślę, że inni mają gorzej. Ci, co pracują w biurach, wychodzą rano, a wracają wieczorem. Ja mogę Zochę zabrać ze sobą na casting czy na spektakl. Stawiam na rodzinę, która niedługo znów się powiększy.

Gratuluje. Czyli znów czeka Panią przerwa w występach na scenie. Trudno się wraca do grania po kilkumiesięcznej przerwie?

Do *Związku* wróciliśmy bardzo szybko. Zaczęliśmy też prace nad *Próbkami* Schaeffera w Arterionie. Ponadto Ania Ciszowska w lutym 2012 zaproponowała mi udział w spektaklu produkowanym na

Dotknij Teatru *Podróż do wnętrza sceny*. To było ciekawe przedstawienie, choreografię ustawiał Jacek Owczarek.

Taki ciąg dalszy zajęć z liceum?

Trochę, ale na profesjonalnej scenie. Łącznikiem była Ania Ciszowska, której mogę słuchać zawsze. W aktorstwie jestem intuicjonistką, muszę sobie coś obmyślić, sprawdzić na scenie i dopiero widzę, czy to mi się zgadza. Wiem, że są osoby, które podchodzą do roli analitycznie, miesiącami myślą, dlaczego ten guzik jest czerwony, a postać akurat wtedy podnosi rękę. Nie mam nic do takiego teatru, ale ja chcę działać, robić. Anię lubię za to, że pięknie mówi o roli, zawsze jest świetnie przygotowana. A jednocześnie to nie jest rozpisane na papierze, Ania pozwala aktorowi szukać, próbować wiele razy. Przy okazji poznałam też Jacka Owczarka.

Owczarek, Brzozowski - to raczej offowy model teatru...

Mnie to kręci, z Marcinem po szkole pracowałam przy *Bierzeńcach* w Teatrze Szwalnia, takim przedstawieniu o Czarnobylu na podstawie Swietłany Aleksijewicz. Uwielbiam teatr Marcina. Ten klimat, to że on czerpie z muzyki ludowej, muzyki dawnej, muzyki ukraińskiej. Na scenie stoi aktor, zapala się na niego światło i to jest magiczne. W normalnym teatrze ludzie się rozsiadają, zapłacą za bilet, zwyczajność... A ja lubię jakieś takie wariactwo. Nie chodzi oczywiście o to, by się zalewać krwią albo pokazywać piersi, tyłek i wszystko... Ale teatr Marcina - coś takiego chciałabym kiedyś robić.

Może jest w tym offie trochę snobizmu, na przykład to wieczne trzymanie widzów przed drzwiami i wpuszczanie tuż przed rozpoczęciem spektaklu.

Ja wiem, może trochę się łudzę, żyję przeszłością. Bo w czasach licealnych Łódzkie Spotkania Teatralne, a nawet Łópty to było coś wielkiego, wydarzenie. Wszyscy chcieli być tacy offowi i może ja w tym trochę zostałam.

Off przeniósł się do teatrów instytucjonalnych.

Ostatnio w teatrze większość rzeczy mi się nie podoba. Nie wiem, co jest nie tak. Na przykład mnie kręci teatr Agaty Dudy-Gracz, choć nie miałam przyjemności z nią pracować. Jej *Złesny* były świetne - pełne, prawdziwe, takie mięcho na scenie. Potem poszłam do Jaracza na *Iwonę* i przeżyłam rozczarowanie. Nie wiem, po co to zostało zrobione. A *Według Agafii* znowu mi się podobało - aktorzy bawili się swoimi rolami. Nie wiem, od czego to zależy.

Zobaczyć pani można w TeArcie (dawniej Arterion) i w Teatrze Małym - to podobne przedsięwzięcia?

W Arterionie dobieramy sobie ekipę i sami podejmujemy decyzję, co będziemy robić. Natomiast w Małym jest dyrektor Pilawski, który buduje repertuar, dobiera obsadę, a my nie mamy za wiele do gadania. Ale cieszę się, że tam jestem, bo dużo gram. Teraz zrobiliśmy *Balladynę*, którą od poniedziałku do piątku przez dwa tygodnie graliśmy dzień w dzień, czasem po dwa razy. Maraton.

Gra tam pani Alinę i Chochlika. Którą postać pani bardziej lubi?

Chochlika, zdecydowanie. Alina tak naprawdę ma dwie sceny. Trochę się poprzyymila do Kirkora i zaraz umiera. Trochę współczuję aktorkom, które grają tylko Alinę. To musi być smutne - umierać i czekać trzy akty do końca spektaklu. Dlatego cieszę się z tego Chochlika. To taka organiczna, trochę offowa rola.

To odpowiada pani temperamentowi czy to wyobrażenie reżyserów, że właśnie w takich rolach panią obsadzają. Rita też jest trochę zadziorną chłopczycą.

No właśnie - Rita. *Edukację Rity* podsunęliśmy Markowi Kasprzykowi i najpierw w ogóle nie chciał tego robić. Ja też strasznie długo tej Rity szukałam i żał mi, że tak mało razy zagraliśmy. Andrzej

Wichrowski miał premierę *Zwłoki*, teraz ja wypadnę. Może jesienią zagramy...

W Związku jest moment przełomu, gdy bohaterka zmienia dres na seksowną, czarną sukienkę. Które wcielenie jest pani bliższe?

To w sukience.

Czyli jednak uwodzicielska sexbomba, a nie chłopczyca?

Nie, nie o to chodzi. Chcę grać postaci, które mają własne zdanie. Chodzi o żywy temperament, zaciętość, niezależność, nie o seksualność. W szkole miałam strasznie dużo tej erotyki – a to musiałam się z kimś całować, a to byłam gwałcona.

Straszne historie. A jakim widzem jest aktor?

Jest bardzo krytyczny. Myśli się: ja bym to lepiej zagrała, ale potem trzeba sobie powiedzieć: no to wejdź i zagraj, przecież ktoś nad tym pracował przez dwa miesiące. Aktor patrzy na wszystko – każda zła zmiana światła, nierówne wejście muzyki – od razu mu przeszkadza.

Gra pani w różnych projektach bez stałego angażu. To chyba przyszłość waszego zawodu?

To trochę słabo. Aktorów bez etatów – mam wielu takich kolegów – zabijają składki, ubezpieczenia. Żeby pójść do lekarza, muszą się tyle nałazić, męczy ta papierologia. Ja na szczęście jestem podpięta pod męża.

Mąż lekiem na całe zło. Zawsze powtarzam to swojej żonie.

Dobrze mieć męża, takiego dobrego, kochanego. My bardzo się wspieramy, ale jesteśmy wobec siebie krytyczni. Gdy pracowaliśmy razem, prawie się pozabijaliśmy. Daniel mówił: wychodzę na 5 minut, a wy sobie wyjaśnijcie. Po 5 minutach (milczenia) jakoś szło dalej.

Pani gra, a mąż ocenia: to było dobre, a to złe?

Nie, raczej mówi, co można by zmienić, pyta, dlaczego zrobiłam to tak i tak, coś proponuje. Z reguły mówi: spektakl taki sobie, ale ty...

Może chce mieć spokój w domu.

Wiem, że szczerze mi powie, gdy mu się nie będzie podobało. To działa też w drugą stronę. Na ostatniej premierze musiałam do niego zadzwonić w przerwie i powiedzieć, żeby się tak nie kiwał na boki podczas piosenek. Posłuchał.